ROZMAITOŚCI.

Dnia 23. Stycznia. № 4. Roku 1856.

RIK — TIK — TAK.

(Powieść z życia flamandzkiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 1. 2. 3. Rozmaitości.)

IV.

Nazajutrz zrana jechał kapitan z swym towarzyszem krętą drogą, która z Lichtaert wiedzie stepem do Moll.

Słońce jaśniało w całym blasku na pogodném tle nieba rozpalając piaszczystą równinę, która z swemi falistemi wyziewy wyglądała jak ogniste morze o białawych i prawie bezbarwnych płomieniach. Właściwa woń stepu i swęd spalonego torfu napełniały powietrze; świérszcz nucił swą jednostajną piosnkę i tysiące innych owadów brzęczało po kwiecistym stepie. Wszystko to sprawiało nadzwyczajne wrażenie na kapitanie, który śród tego ulubionego powietrza przepędził najpiękniejsze lato swego życia; wszystko dokoła niego, wszystko aż do źdźbła nikłéj, suchéj trawki, obudzało w głębi jego duszy najrzewniejsze wspomnienia. To téż zajęty niemi cały puścił wodzę koniowi — i jechał z pochyloną głową obok swego towarzysza, zachowując najgłębsze milczenie.

Prawie przez całą godzinę szanował młody porucznik milczenie swego przełożonego, ale w końcu zbliżył się ku niemu i starał się rozerwać smutne jego myśli.

— „Kapitanie“ — rzekł — „porzuć już raz ten smutek. Ja pojmuję bardzo dobrze twoją tęsknotę za dziecięciem; ale mąż taki jak ty, co niezadrzał nigdy na widok nieprzyjaciela i śmierci, niepowinien poddawać się zwyczajnym żalom.“

— „Zwyczajnym żalom! — odrzekł kapitan. — Tak, prawda Adolfie, to żal zwyczajny, ale przez to niemniéj głęboki. Zważ tylko dobrze, mój przyjacielu: przez całe życie niekochałem nikogo prócz jednéj kobiéty. Wprawdzie była to wieśniaczka tylko, a przecież pamięć jéj towarzyszy mi wszędzie, nawet na pola bitwy. Bóg ją powołał do siebie, moją biedną Basię; ale zostawiła mi dziecię, zakład naszéj miłości, który wydała na świat kosztem własnego życia. I obawiać się ciągle, że jedyny ten owoc naszego związku zmuszony jest

może żebrać na życie, znosić głód i cierpienia, kiedy ja mógłbym go uszczęśliwić! — wiedzieć, że matka z wysokości nieba wezwie mię kiedyś do odpowiedzialności za los swego dziécięcia!...."

— „Kapitanie, kapitanie" — rzekł porucznik z ubolewaniem — „zanadto ubarwiasz twój smutek, a to nieumniejszy go pewnie. Rozważ tę rzecz z zimną krwią, a przecież żołnierz powinien mieć zawsze tyle mocy nad sobą, by się pocieszyć w nieszczęściu, choćby było większe jeszcze niż twoje."

— „Czyż sądzisz, Adolfie" — odrzekł kapitan, — „że serce tak łatwo można uzbroić pancerzem jak piersi? Mylisz się bracie... Ja wiem, że wmawiasz w siebie nieczułość i upatrujesz w tém nawet rodzaj dumy.... Ale to urojenie tylko. Będzie temu sześć lat, nieprawdaż, jak opuściłeś wieś twoją? Otóż, powiedz mi otwarcie: gdyby oko twe dostrzegło nagle tam w dole, na końcu widokręgu, chatę, w któréj mieszka stara twa matka, czy niezapłakałbyś z radości?"

Młody porucznik milczał przez chwilę, a wkońcu rzekł spuszczając oczy, jak gdyby się wstydził swego wyznania:

— „Kapitanie, upadłbym na kolana i płakałbym!"

— „A! w takim razie pojmiesz łatwo, dla czego pragnę tak gorąco odszukać mego dziécięcia, i że płakałbym pewno, gdyby Bóg użyczył mi tego szczęścia. Musisz wiedzieć, Adolfie, że niemam już ani ojca, ani matki, ani brata... nawet krewnego! Jedna tylko istota na świecie połączona jest ze mną związkiem krwi i wspomnieniem; ta istota jest to dziécię biédnéj Barbary. Umierając złożyła je w mojém ręku, i rzekła w chwili zgonu: „O! błagam cię, mój przyjacielu, kochaj je zawsze!"

Słowa te wymawiał kapitan głosem tak przytłumionym, że poruczuik szanując jego wzruszenie wstrzymał nieco swego konia, i milcząc jechał o kilka kroków za nim. W kilka chwil potém, kapitan zwolnił sam kroku i oczekiwał swego towarzysza. Wreszcie wyciągnął rękę ku niemu i rzekł z głębokiém wzruszeniem:

— „Adolfie! gdybyś położył rękę na mojém sercu, czułbyś jak gwałtownie płynie krew w moich żyłach. Niech cię to niedziwi, że oczy moje zapływają łzami. Widzisz tam w dole, ponad jałowcami, ów olbrzymi dąb, który nad brzegiem strumienia wznosi majestatyczną skroń swoją? To drzewo słyszało pierwszy mój wyraz miłości.... Pod jego cieniem wstydliwe dziéwczę słuchało mego nieśmiałego wyznania. Wszystko to zna mię: trawa, step, strumień, drzewa; wszystko mię wita językiem wzruszenia. Zsiądźmy na chwilę, przyjacielu; chcę się przekonać, czy kora dębu zachowała znak wyryty na pamiątkę naszéj miłości!...."

Po tych słowach zsiedli obadwa z koni i prowadzili ich przez jakiś czas za uzdę, aż wreszcie niemogąc iść daléj z końmi, uwiązali ich do dwóch drzew i przeskoczyli na drugi brzeg strumienia. Przybywszy do dębu kapitan założył ręce, pochylił głowę i oglądał wyryty znak, który promienił się w jego oczach jak pozdrowienie ukochanéj małżonki.

Nagle jak gdyby dotknięty niewidomym ciosem zadrżał i nadstawił ucha. Porucznik przestraszony nagłém poruszeniem kapitana, sięgnął mimowolnie do boku, gdzie wisiała szpada; ale rozkazujący znak kapitana zalecił mu najgłębsze milczenie.

Z za olszyny, osłaniającéj brzeg strumienia, dolatywały jakieś ciche, dźwięczne tony, i wnet słychać było wyraźnie jakiś głos, niby dziecięcy jeszcze, śpiewający wesoło:

Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!
Daléj do młota,
Kujmy co tchu!
Niech stal czerwona
Iskrami miota,
Kto ją pokona
Ten godzien snu!
Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!

Kapitan stał ciągle nieruchomie, chociaż niewidomy śpiewak już dawno umilkł. Zapewne oczekiwał drugiéj zwrotki. Niesłysząc nic jednakże zaśpiewał sam z nadzwyczajnym wzruszeniem:

Rik — tik — tak,
Rik — tik — tu!
Choć rękę zboli —
Kujmy co tchu!
Niech kruszec twardy,
Gnie się do woli
Kto z złota hardy,
Niegodzien snu!
Rik — tik — tak,
Rik — tik — tu!

Nic nieodpowiadało na głos jego, gaj olchowy pozostał niemy. Wtedy przyskoczył kapitan do porucznika, pociągnął go za rękę i rzekł drżącym głosem:

— „Chodź, chodź, mój przyjacielu! Ja drżę cały — śmiertelny dreszcz mię przechodzi. To żona moja śpiewała... to jéj głos... to jéj piosnka!.... O, mój Boże! cóż mię czeka jeszcze?“

Nagle zatrzymał kapitan swego towarzysza i niemówiąc nic pokazał mu młode dziéwczę, siedzącą na trawie pod gęstym krzewem jałowcu. Nieznajoma śpiewaczka zdawała się niezważać na to, że ją szpiegują, gdyż duże oczy jéj patrzały nieruchomie w kierunku dębu, a palce prawéj ręki spoczywały na pół otwartych ustach, jak gdyby chciała oddalić od nich wszelkie głosy stepu dla przepuszczenia jednego tylko.

Kapitan zrobił poruszenie, by się zbliżyć do niéj, i dopiéro wtedy spostrzegło przestraszone dziéwczę, że nieznajome osoby przypatrują się jéj tak ciekawie. Ale obawa jéj znikła natychmiast i wzrok zajaśniał jakimś niewysłowionym uśmiechem na powitanie dwóch nieznajomych.

Niemogąc dłużéj powściągnąć swéj niecierpliwości, pobiegł kapitan, ukląkł obok dziéwczęcia i ująwszy jedną jéj ręką, zapytał drżącym głosem:

— „Moje dziécię, jak się ty nazywasz?“

— „Lena“ — odpowiedziała.

Nieszczęśliwy ojciec wydał jęk bolesny i zawołał z rozpaczą:

— „Lena? O mój Boże, to nie ona!“ I zaczął płakać zakrywszy twarz rękoma. Porucznik chciał go podnieść z ziemi, ale kapitan odtrącił go z lekka, dając mu do zrozumienia, że radby pozostać swobodnie z swoim smutkiem.

Lena spoglądała kolejno na obu nieznajomych badawczym wzrokiem, a wreszcie spostrzegła, że ten, który ukląkł przy niéj, rozpłakał się tak rzewnie. Wtedy ujęła sama rękę kapitana i rzekła głosem pełnym najszczérszego politowania:

— „Cóż to cię tak zmartwiło, panie? Czy piosnka *Rik — tik — tak* sprawiła ci taką boleść? To niebędę śpiewać jéj więcéj.“

Kapitan ujęty dźwiękiem jéj głosu, otarł co prędzéj łzy i zbliżywszy się jeszcze bardziéj do dziewczyny zapytał ją z pospiechem i trwogą:

— „Powiedz mi, moje dziécię, kto cię nauczył téj piosnki?“

— „Ja niewiem — odrzekła łagodnie; — umiem ją bardzo dawno już, ale niemogłabym powiedziéć, odkąd.“

— „Czy nieprzypominasz sobie, moje dziécię; że będąc jeszcze bardzo młodą, słyszałaś zawsze jakby huk młotu uderzającego w takt po kowadle?“

Lena nieodpowiedziała nic na to pytanie, ale oczy jéj rozwarły się szeroko i sięgła ręką do czoła, jak gdyby chciała wydobyć ztamtąd jakieś wspomnienie.

— „Posłuchajno“ — rzekł kapitan z większym jeszcze pospiechem — „i przypomnij sobie, czy niesłyszałaś ty często coś takiego?“ — I uderzając trzonkiem swego szpicruta po dłoni naśladował tupkanie młota po kowadle i śpiewał:

Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!
Choć ręka zboli
Kujmy co tchu!
Niech kruszec twardy
Gnie się do woli;
Kto z złota hardy
Niegodzien snu!
Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!

Dziéwczę zaczęło drzéć na całém ciele, a gdy skończył kapitan, zawołała z uniesieniem radości:

— „Tak, tak, — *Rik — tik — tak!*“ I klaskała rękoma również na nutę piosnki.

— „Czy nieprzypominasz sobie, moje dziécię, żeby jaki mężczyzna huśtał cię na kolanach podług taktu téj piosnki?...“

Lena położyła palec na ustach i zmrużyła oczy; wreszcie po chwili milczenia odrzekła półgłosem, jak gdyby się wahała.

— „Ten mężczyzna.... ten mężczyzna.... to był mój ojciec!“

Na ten wyraz zadrżał kapitan z radości i już wyciągnął ręce, by pochwycić Lenę w swoje objęcie, ale wstrzymał się jeszcze i zapytał:

— „O lube dziécię, czy ty istotnie nazywasz się Lena? Pomyślno trochę.... Czy nieprzypominasz sobie, jak cię nazywał ów mężczyzna trzymając cię na kolanach?“

Lena utkwiła wzrok w ziemię i myślała przez chwilę; wreszcie rzekła wahającym głosem:

— „On mawiał zawsze: Droga.... kochana Moniko!“

— „Moja córka! moja córka!“ — zawołał kapitan z tak gwałtowném uniesieniem, że można było słyszéć go zdaleka, i porwał Monikę w swe objęcie.

Dziewczyna wzniosła ku niemu zwolna swe czarne oczy, uśmiechnęła się słodko i ulegając wzruszeniu, padła zemdlona na łono ojca.

W godzinę potém kapitan prowadząc pod rękę swoją córkę, opuścił gaj olchowy i udał się drogą ku Moll, porucznik wsiadł na jednego konia, a drugiego prowadził za uzdę. Blada twarz Moniki ubarwiła się lekkim rumieńcem, podobnym do tego, jaki zdobi nieraz listki białéj róży; niemogła odwrócić oczu od swego ojca, i uśmiechała się do niego z wyrazem szczęścia; on zaś głaskał pieszczotliwie twarz i ramiona kochanéj córki i zatrzymywał się często, by złożyć serdeczny pocałunek na jéj czole.

Tak szli powoli stepem, zatrzymując się często, aż wreszcie spostrzegli po prawéj stronie samotny futor i ścieżkę wiodącą do niego.

Kapitan miał stanowczy zamiar niewstępywać wcale do tego domu, gdzie biedna córka jego doznała tyle katuszy; nadto chciał oszczędzić sobie widoku niecnéj kobiéty, która zmieniła imię powierzonego sobie dziécięcia, by przywłaszczyć sobie żelazną szkatułkę i zamknięte w niéj pieniądze. Dla tego téż pociągał, z rodzajem niecierpliwości rękę Moniki, i usiłował słodkiemi wyrazy i czułemi pieszczoty odwrócić jéj uwagę od futoru. Zapewne musiała Monika opowiedziéć mu wszystko i mówić z wielkim zapałem o młodym wieśniaku, który tak wiernie i szlachetnie kochał ją i bronił w domu swéj matki. Kapitan czuł to dobrze, że bolesno jéj będzie rozłączyć się z tym, który był jéj bratem i pocieszycielem w cierpieniach; ale jakkolwiek z najgorętszą wdzięcznością wspominała Monika o Janie, ojciec uczuwał przecież wstręt do syna kobiéty tak okrutnéj jak dzierzawczyni, i byłby chętnie zerwał raz na zawsze wszelki stosunek z tą niegodziwą rodziną.

Jednak pomimo niespokojnéj troskliwości ojca wyrwała się Monika nagle z rąk jego, spojźrzała ku futorowi i stanęła jak wryta. Kapitan szanował przez kilka chwil głębokie jéj wzruszenie, ale wnet spostrzegłszy że oczy jéj zalały się łzami, przystąpił do niéj i rzekł:

— „Droga Moniko, czy żal ci opuścić to miejsce, gdzie ci wyrządzono tyle złego?“

— „A nieumrze on z żalu?“ — rzekła przytłumionym głosem.

— „Ani myśl o tém, moje dziécię. Twoje oddalenie zasmuci go może na razie, ale młode serce wnet się pocieszy i zapomni o tobie.“

Oczy dziéwczyny zaiskrzyły się jakimś dzikim ogniem.

— „O mnie zapomnąć?“ — zawołała; — „on miałby zapomnąć o swéj siostrze! O! gdybym mogła widziéć go choć raz jeszcze! Ale czekajcie, czekajcie... oto jest! Janie! Janie!“

I szybko jak strzała poleciała przez step naprzeciw młodemu wieśniakowi, którego spostrzegła zdala pośród olszyny. I poskoczyła ku niemu z otwartemi ramiony wołając:

— „Janie, ja odchodzę... odchodzę daleko, daleko ztąd....“

Młodzian spoglądał na nią z zadziwieniem i zdawał się jéj nierozumieć. Ona zaś wskazała palcem ku stepowi i rzekła:

— „Patrz! to mój ojciec tam na dole. To był ów głos, który zawsze przemawiał do mnie.“

— „Ten bogaty pan, twój ojciec?“ — przebąknął Jan z wzrastającém wzruszeniem.

— „Tak jest, i ja nienazywam się już Lena; moje imię daleko ładniejsze; nazywam się Monika.“

Młody wieśniak, który pojmował tylko cały ogrom swego nieszczęścia, zaczął drzeć jak trzcina i oniemiały spoglądał obłąkanym wzrokiem to na kapitana to na dziéwczynę. Po chwili zaś chwycił się konwulsyjnie rękoma pobliskiéj olszyny i oparłszy o jéj pień głowę i ramiona, zaczął płakać gorącemi łzami.

Monika pojmowała boleść rozdzierającą jego serce; rzuciła mu się na szyję, odciągnęła łagodnie jego głowę od drzewa, i wycisnęła po raz piérwszy w życiu gorący pocałunek na czole młodzieńca.

— „Janie“ — wołała — „niesmuć się, ja powrócę, z pewnością! Wierzaj mi, ja cierpię niemniéj od ciebie!“

Te dowody miłości zdawały się dodawać sił młodzieńcowi. Z wyrazem cichego smutku przypatrywał się płaczącéj dziewicy, która ciągle jeszcze trzy-

mała go w swém objęciu; ale przybycie kapitana przerwało dalsze wynurzenia ich wzajemnych uczuć. Ojciec nieupatrywał w téj scenie nic innego, tylko wyraz przyjaźni dwojga dzieci. Zbliżył się do młodego wieśniaka i wziąwszy go za rękę rzekł:

— „Janie Daelmans, dziękuję ci za twą czułą przyjaźń dla méj córki. Jeżlibyś kiedy potrzebował pomocy, znajdzież ją zawsze u mnie. My odjeżdżamy do Moll, a ztamtąd do Francyi. Niemartwże się, mój chłopcze, szczęściem Moniki; to by było nieszlachetnie z twéj strony. Przybywaj natychmiast do Moll, pod „Orła“; możesz tam przepędzić jeszcze kilka godzin z Moniką. Ja tymczasem udzielę ci małéj nagrody....“

To mówiąc wsunął mu w rękę kilka dukatów. Ale Jan zamiast okazać wdzięczność, spojźrzał gniewnym wzrokiem na kapitana i zdawał się niepojmować wcale, co się działo dokoła niego.

— „A teraz odjeżdżamy Moniko,“ — rzekł kapitan do swéj córki; — „trzeba nam się śpieszyć. Ukójże twój żal; w Moll będziecie widziéć się dość długo jeszcze.“

Monika z oczyma zalanemi łzami ścisnęła rękę swego przyjaciela i rzekła odchodząc zwolna:

— „Więc do widzenia, Janie; do widzenia jak najprędzéj!“

Młody wieśniak spuścił oczy ku ziemi i pozostał przez chwilę nieruchomy. Gdy podniósł potém głowę, niebyło już widać nikogo. Dopiéro wtedy uczuł biedny młodzieniec coś ciężkiego w swém ręku; przypatrzył się złotu z uśmiechem pogardy i cisnął je daleko od siebie w głąb stepu. Potém rzucił się na ziemię pod drzewem i zakrył twarz obiema rękami.

W kilka dni potém opuścił piękny powóz pocztowy miasteczko Moll. Siedziały w nim trzy osoby: wojownik o surowych, poważnych rysach, nadobna dziewica i młody oficer.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Tarantowate i srokate konie.

Jak do wszystkiego poczyna świat zwolna powracać, co bez potrzeby zarzucił, czego w swym czasie ocenić nie umiał, tak też powraca dziś znowu do chowu srokatych i tarantowatych koni.

Jeżeli się tu kogo radzić wypada i niezawodnie można, to staropolskiéj *hippiki*, która, nietylko że przywiązywała wielkie znaczenie do maści konia, ale nadto jeszcze umiała każdy znak na koniu położony odczytać niejako i tłumaczyć jego znaczenie, podług odwiecznych praktyk i właściwego daru obserwacyi. Wszędzie widzimy toż samo, gdzie się od wieków sławne hodują konie i gdzie chów koni jest związany z życiem i powołaniem człowieka i narodu.

Według téj tedy tradycyjnéj hippiki, jest *maść tarantowata* pierwotnie pochodzenia perskiego, a dostała się do nas od Tatarów. Brudno-kasztanowata lub dropiata tarantowacizna na skórze lśniącéj białości, o cielisto-różowawych chrapach i nozdrzach, o takiém samém podkasaniu, lekkiéj bardzo grzywie i nikłym ogonie — to jest maść pierwotna i oryginalna tarantów; którą tém wyżéj ceniono, jeżeli nadto róg kopyt był czarny i lśniący, kształt obłączysty, pęcina krótko związana, oko czarne i wypukłe, wyrost szyi koguci, cętki tarantowacizny równe, jajkowatego kształtu, mało co większe od jaja, i coraz drobniejsze ku szyi i głowie, tak że się w końcu na głowie i nogach w dół kończyły grubą hreczką lub jednostajną ciemną maścią. — Pierwotne tarantowate konie nie były rosłe, jak wszystkie oryentalne rasy, i miały wszystkie ich zalety, a zrażało to tylko u nas do nich, że

nie miały pięknych ogonów; bo za zwyczaj od spodu zawsze nagie, a tylko z wierzchu rzadkim, niezbyt długim, a często i krętym włosieniem pokryte — tak zwane *pytki.* — Pochodzi to ztąd, że zawsze tylko jedna maść daje włosień na ogonie; albo obrastają centki, co się częściéj zdarza, albo porasta włos biały a centki są nagie, co już do zalet w téj maści liczono, kiedy tarant miał ogon biały. Grzywa biała zdarza się tylko u ogierów i należy do najpiękniejszych odmian w téj maści.

Zrażało tedy, jak mówię, u nas do tarantów, że nie miały pięknych ogonów, a wyjątkowo tylko bogatą kądziel. Kiedy więc w całéj Europie, na wzór okazałego hiszpańskiego dworu, poczęto już z końcem XVII wieku urządzać kalwaty i cugi dworskie, sprowadzono i do nas hiszpańskie i neapolitańskie konie, i ztąd powstały taranty rosłe i taranty z lepszemi ogonami; bo, jak wiadomo, są hiszpańskie i neapolitańskie konie także przez arabskie poprawione, ale zachowały wielkość domowéj rasy, silne grzywy i ogony, horbonosy, silne piersi i ogromny wyrost szyi.

Przez rozrodzenie i zkrzyżowanie zmieniła się pierwotna tarantowacizna w żelazne, kare, gniade, na siwe nawet centki. Te taranty, wszakże, nie są już ani tych zalet co oryginalne ani téj wartości. Tarantowate konie cugowe i rosłe księżnéj Marszałkowéj Lubomirskiéj, od których wielu u nas wywodzi pochodzenie tarantów, były z zagranicy za niéj sprowadzone, ale książę Wojewoda Ruski miał odwieczne stado perskich oryginalnych tarantów, z którego pod wiérzch lekkie brano konie. Dziś pozostały resztki tego stada w Złotnikach na Podolu i ztąd się znowu ta maść rozmnaża.

Tarantowate konie bywały cenione, bo zaletą téj maści jest: wielka krew, silna więź, gładki fel i rączość bez narowu. Taranty wyrastają długo, późno do pracy wzięte służą długo i żyją bardzo długo.

Ród idzie tu głównie po ojcu, nie po matce, jak u innych oryentalnych koni; a nietylko zalety rodu ale nawet i maść. Chciawszy się tedy dochować stada tarantowatych koni, nie dosyć jest mieć tarantowate klacze (których się stosunkowo zawsze mniéj w téj maści rodzi), ale potrzeba mieć ogiera taranta; bo klacz każdéj prawie maści rodzi tu w ogiera: doświadczono nawet tego, że klacz nietarantowata rodzi źrebięta z najregularniejszemi centkami, z piękniejszemi nierównie częstokroć niż je nawet miał ojciec; kiedy źrebięta po samych tarantach widocznie się zwodzą, bo miewają dziwaczną i przykrą tarantowaciznę, a czasem przechodzą w dzikie maści, po których się tarantowacizna przerzuca.

Co do *srokatych koni*, te są krajowego zawodu, a w piękniejszych i dzielniejszych koniach może już ostatkami pierwotnéj polskiéj rasy, naznaczonéj tylko widoczniéj dziś już jedynie w téj maści.

Srokacizny nie ma nigdzie pierwotnéj, tak jak jest tarantowacizna, a regularna srokacizna dowodzi odwiecznego starania w hodowaniu koni i najstaranniejszego krzyżowania rass i maści: ztąd téż zdarzy się u nas częstokroć znaleźć i ocenić w srokatym koniu zalety i piękności, choć nie jest, jak to mówią, *wielkiego rodu i wysokiego żłobu*, jakich nawet rassowe konie, tak zwane piérwszéj ręki, nie posiadają.

Najlepszym dowodem, że koń srokaty jest tylko skutkiem odwiecznéj hodowli koni w ręku i za staraniem ludzkiém, jest to, że srokatych koni nie ma tam gdzie się konie nawpół dziko chowają w tabunach; dopiéro Zawodzkie stada poczynają mieć srokaciznę: ztąd téż jest tradycya między koniarzami na Ukrainie, że kto do Ordy tatarskiéj stepami zimą jeździł, nie brał nigdy srokatych koni w drogę, bo koń srokaty nie wygrzebie sobie paszy z-pod śniegu; przeciwnie zaś, zachwalano bardzo srokate konie, z powodu ich odwagi, na konie wojenne i myśliwskie, bo mają wiele bystrości, pojętności, czujności na straży i stanowisku, nie boją się zwierza, ognia ni wrzawy.

Uderzają nieraz w srokatym koniu drobnym szczegóły tak piękne, iż nie umiemy sobie zdać sprawy, czemu to przypisać? a rzeczywiście leży to w bardzo starożytném pochodzeniu i krwi szlachetnéj, która się jeszcze przechowała w koniach téj maści. Co więcéj, kiedy tarantowacizna nie ma pewnych stałych cech, co do kształtów i ruchów, przechowały srokate konie pewne ruchy i kształty stale. I tak, na przykład, szerokie czoła i międzyuszy, otwarte chrapy, więź zwięzła, nizko związane nogi, szerokie, prawie rozparte zady, stęp spory i wybitny, kłus nadzwyczaj wyciągnięty, zwrot łatwy, osadzenie w miejscu, oddech silny i długi, o czém się przekonać można przy pojeniu koni, bo srokaty koń pojony zanurza łeb w wodzie wyżéj chrapów jeszcze: daléj, wielka wytrwałość, i ja-

kem już nadmienił, odwaga, łagodność, wielka pojętność, przywiazanie do jeźdzca i miejsca, jedném słowem mówiąc, większy rozum w téj maści niż w każdej innéj; co dowodzi, powtarzam, że te konie są już od bardzo dawna pod ręką i w staraniu ludzkiém. Nie należy to przypisywać przypadkowi jedynie, że pod trebaczy, dojeżdżaczy, myśliwych, dają się tradycyjnie srokate konie: jest to, przeciwnie, wymowny dowód świadczący o odwadze i pojętności koni téj maści. Również nie jest i to przypadkiem, że się małych chłopaczków na srokate sadza konie i że sztukmistrze wszystkich narodów starają się zawsze o nabycie małych srokatych naszych koni, które za granicą dotąd z pojetności swojéj słyną i z łatwością wyuczyć się dają sztuk różnych. Żaden koń nie nadaje sie żołnierzowi w tak krótkim czasie jak srokaty, nadewszystko, gdy pod wierzch użyty, daje się łatwo nauczyć tego, by bez uwiązania stał w miejscu i na stanowisku gdzie sie go, zsiadłszy, postawi; co dowodzi, że ta maść była z dawna łagodnie, starannie i z ręki chowana, że pojmuje stosunki ludzkie i jest rozumnie karną.

W srokaciźnie są te maści u znawców najwyżéj cenione, które z natury swojéj najdaléj od siebie legły, a więc przedewszystkiém konie *karo-srokate*: po nich idą *gniado-srokate*, daléj *kasztanowato-srokate*, *bułano-srokate*, *siwo-srokate* i najpodlejsze *myszato-srokate*. Co zaś do saméj srokacizny, i tu zachodza znaczne bardzo różnice. Czém regularniejsza srokacizna, tém niezawodnie koń lepszy: równy czapraczek ciemnéj maści na białéj lśniącéj skórze, należy do doskonałości — zwłaszcza, jeżeli przytém jest głowa ciemnéj maści i nogi w dół od kolan ciemne, róg czarny, a ogon wzdłuż od krzyża na poły ciemny: do największéj zaś perfekcyi należy już w karych srokaczach, jeżeli na białych płatach znajdują sie z rzadka krągłe kare centki owalowego kształtu, jak na tarancie; bo taka srokacizna świadczy o przekształceniu trzech rass rożnych i zejściu się trzech maści najbardziéj od siebie odległych, to jest maści tarantowatéj, maści siwéj, któréj pierwotnie nie było w naturze, i maści karéj, która najdaléj od siwéj leży. — Błedem w srokatym koniu jest, jeżeli ma od uda w dół białe nogi — takie konie bowiem bywają do grudy bardzo skłonne, w użyciu miękkie i miękkiego ścierwa — jeżeli ma biały róg, który zwykle gośćcowaty bywa, nadzwyczaj suchy i szczypki; nie mają tego jednakowoż za błąd, żeby róg był wzdłuż drobno-prążkowato srokaty, byleby był twardy i połyskujący; błędem jest, w końcu, jeżeli mają żerkate lub tak zwane porcelanowe oczka. Koń przykréj srokacizny, trzy-lub więcéj kolorowéj, bywa miękki lub narowisty; koń porcelanowego oczka nietrwały i krótkowidzący, dla tego czasem lękający się wszystkiego przed soba na ziemi, lubo do ognia i wody odważny bywa.

Ktoby się chciał dochować koni srokatych, niech szuka ogiera, któryby był mało ale bardzo regularnie, i jeżeli można, karo, skarogniado, lub przynajmniéj zawsze ciemno-srokaty, a niech z nim nie stanowi ani klaczy siwych ani dzikiéj maści. Srokacizna ma to do siebie, że się w pokoleniu powiększają płaty białe; szczególniéj idzie to po klaczach, że źrebięta z nich urodzone, mają coraz większe płaty białe po nogach: dla tego wypada rozradzać srokaciznę z ogiera srokatego, któryby miał jaknajmniejszą strzałkę i nie więcéj jak jednę i to zadnią nogę białą po pecinę. Cechą niezawodnie szlachetnéj rassy będzie zawsze, jak mówiłem, regularny czapraczek ciemny albo biały, chociaż ciemnemu na tle białém dają pierwszeństwo. — Srokacze różowéj skóry są bardzo łagodne i pojętne, ale srokacze czarnéj spodniéj skóry i twardego ogona (co siłę krzyża oznacza) są to konie największych zalet i największéj trwałości w téj maści.

W dobieraniu regularnéj srokacizny nie trzeba się koniecznie oglądać na rassę — gdzieś to wyżéj i dawniéj od jednéj krwi poszło; zalety lubią się odradzać i powracać przy poprawie krwi i to dowoli; zawsze jednakowoż trzeba się trzymać téj zasady, aby poczynając hodować srokate konie, zaczynać od mało-srokatych, to jest, aby ciemna maść przeważała, mianowicie na głowie i nogach, bo z każdém pokoleniem będą sie powiększały płaty białe i nie ma obawy, żeby się urwała srokacizna na braku białéj sierści.

Tak zwane *murzynki* nie należą właściwie do srokatych koni; wyradzają się one, z maści siwéj, z dereszów i z żelaznéj maści, nie mają żadnego związku z maścią srokatą; a że rassy te są od niéj bardzo odległe, nie radziłbym nigdy tych maści zbliżać do siebie.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.